

Agent detergent

Chemia w środkach czystości bywa groźna.
Trzeba jednak jej w domu używać. Byle z głową.

PAWEŁ WALEWSKI

Dom to mikrokosmos. Ważne, by osiągnąć w nim równowagę. Elżbieta Lange, psychoterapeutka i trenerka zdrowego stylu życia, musi się trochę wysilić, by serwując tego rodzaju spotkania, którzy chcą wypromować przed mediami nową linię środków czystości. Sprzątanie nie hańbi, ale tej wiosny ma do niego zachęcać taka oto filozofia: czyste mieszkanie wpływa na zrównoważoną i lepszą egzystencję. – *Kiedy dobrze się odżywiamy i uprawiamy sport, ale mieszkamy w nieporządku, to trudno mówić o zdrowym stylu życia* – przekonuje.

Brudno jak w kuchni

Jeszcze trudniejszą misję ma pracownica norweskiej firmy: musi uzasadnić, dlaczego nowe produkty do mycia podłóg, czyszczenia łazienki i prania kosztują kilkakrotnie więcej niż te, do których kupujący są od lat przyzwyczajeni. I tu okazuje się, że kluczowym argumentem jest chemia, a właściwie jej brak – nowa linia detergentów ma bowiem być właśnie dlatego droższa, że zawiera mniej składników niebezpiecznych dla zdrowia i środowiska.

Kto chce podbić rynek ekologicznymi hasłami, a przy okazji nastraszyć perfekcyjne panie domu swędzącą skórą i zała-

wionymi oczami, może tu liczyć na sukces. Polacy boją się GMO, szczepionek, konserwantów i dodatków do żywności, nie zawsze zdając sobie sprawę, że są one lepiej przebadane niż wiele naturalnych produktów, często opatrzone etykietą „organic”. Niepokoją ich też środki czystości zawierające chemikalia. Bardziej nawet niż brud i zarazki. Czy słusznie?

Kilka lat temu zespół mikrobiologów z Centrum Zdrowia Dziecka przeprowadził badania czystości rąk Polaków. Przy okazji ujawnił, że w mieszkaniach najbogatszym siedliskiem bakterii flory kałowej i grzybów pleśniowych są piloty do telewizorów. Mało kto dokładnie je czyści przy odkurzaniu mieszkania, a na co dzień, w przerwie reklamowej ciekawego programu w telewizji, większość jak najszybciej wraca z toalety, nie myjąc rąk.

Te same badania pokazały, że to jednak nie łazienka jest najprzyjaźniejszym miejscem dla bakterii, tylko kuchnia, choć miejsce, w którym przechowywana jest żywność i przygotowywane są posiłki, powinno kojarzyć się z nienaganną czystością. Ale nawet banknoty i urządzenia na placach zabaw bywają bardziej higieniczne niż blaty kuchenne, a na wysłużonej drewnianej desce do krojenia może gromadzić się więcej mikroorganizmów niż na klozetowej.

Mimo to eksperci mówią: nawet kuchnia to nie sala operacyjna. I nie zachęcają do stosowania w mieszkaniach płynów bakteriobójczych. (Podobnie zresztą jak mydeł antybakteryjnych – one wraz z niebezpiecznymi drobnoustrojami niszczą naturalną florę, po której pozostaje nisza zapelniana hordą nowych zarazków).

Preparaty przeciwbakteryjne splukują się gorzej niż zwykłe płyny (np. do mycia naczyń), bo mają za zadanie dłużej pozostać na powierzchni i dalej tam działać. Na blacie lub desce do krojenia mogą stać się więc niezdrowym dodatkiem do kanapek. Lepiej myć po prostu kuchenne sprzęty zwykłymi detergentami lub naturalnymi preparatami, jak soda oczyszczona, sok z cytryny lub ocet (zarazki nie tolerują kwaśnego środowiska). Za to częściej i dokładniej.

Dr inż. Anna Oborska, chemiczka i kosmetyczka, dyrektorka Polskiego Stowarzyszenia Przemysłu Kosmetycznego i Detergentowego, uspokaja przed nadmiarem zwykłej chemii w domach: – *Bez niej nie da się utrzymać czystości. Brud pod względem chemicznym to przede wszystkim tłuszcz. A z nim sama woda sobie nie poradzi.*

Zdrowiej w brudzie?

Były czasy, gdy przy porządkach stosowano jedynie ług, piasek, mydło i ocet – ale nie z uwagi na przesadną dbałość o zdrowie, lecz niski poziom higieny i cywilizacji. Rewolucja higieniczna polegała nie tylko na budowie wodociągów i kanalizacji, lecz także na dostarczeniu ludziom proszków, płynów do mycia podłóg i naczyń, sprejów do szyb itd. Już w poradniku dla gospodyń z 1876 r. doradzano, jak pracować szybko, bo skoro pół dnia zajmuje gotowanie – drugiej połowy nie warto spędzić na praniu. – *A dziś mamy technologie, o jakich nasze babki mogły tylko pomarzyć* – mówi dyr. Oborska. Proszki to najbardziej skomplikowane detergenty – poszczególne ich składniki muszą uwalniać się w odpowiednim czasie i temperaturze, a przy tym nie niszczyć tkanin.

Polki zawdzięczają ją rewolucji, którą gospodarstwa domowe przeżyły na przełomie XX i XXI w., gdy wraz z rozkwitem handlu zaczął się wyrównywać dystans dzielący nas od Zachodu również w dziedzinie prania koszul, zmywania i szorowania toalet. Wtedy telewizje świetnie żyły z promocji środków czystości, a producenci wmawiali konsumentom, że im więcej w domach chemii (zwłaszcza niemieckiej, która do dziś cieszy się szczególną estymą), tym czystiej i zdrowiej.



Dziś wśród dziesięciu najpopularniejszych sektorów wydatki na reklamy detergentów spadły na ostatnią pozycję – według danych zebranych przez Kantar Media w 2017 r. ich producenci wydali w mediach 434,5 mln zł. Ale na farmaceutyki – 5,5 mld, na żywność 3,3 mld, a na napoje i alkohole – 1,2 mld zł.

Czy to oznacza, że Polacy stracili zainteresowanie czystością? A może nie potrzebują już żadnych zachęt? Wartość polskiego rynku chemii gospodarczej wzrasta co rok o 4 proc., więc chyba na miano brudasów już nie zasługują.

Po okresie zachwyty nad lśniąco czystym, sterylnym domostwem pojawiły się jednak naukowe opinie, że dla naturalnego systemu immunologicznego – wytrenowanego przez ewolucję do walki z zewnętrznym wrogiem – pozbawienie go tej funkcji obraca się przeciwko gospodarzowi, gdyż niszczy wtedy jego własne komórki. I już nie rewolucja, lecz tzw. teoria higieniczna, w myśl której dzieci chronione przed kontaktem z brudem ciężiej przechodzą zakażenia i są bardziej podatne na alergię, zaważnęła umysłami konsumentów.

Do obietnic ponadprzeciętnej skuteczności, umieszczanych na niektórych opakowaniach środków czystości, coraz więcej ludzi zaczęło podchodzić z dystansem. Anna Oborska podkreśla wprawdzie, że to, co producenci deklarują – musi mieć potwierdzenie w badaniach, ale i ona sama do hasła „zabija wszystkie zarazki” nie ma zaufania. Nawet gdy jakiś preparat niszczy 99 proc. bakterii, pozostaje ten 1 proc., który na mocno zabrudzonej powierzchni przekłada się na kilka milionów drobnoustrojów, na przykład salmonelli (co wystarczy do zakażenia, jeśli zapomnimy o zwykłym umyciu rąk).

Tricków reklamowych jest na rynku detergentów dużo więcej. Jedną z firm stara się odróżnić od konkurencji brakiem w składzie swoich produktów parabenów, chloru, fosforanów, wybielaczy i sztucznych barwników, licząc zapewne na niską świadomość konsumentów. Bo kto wie, że złowrogo brzmiące parabeny nie są wcale tak złe jak niektórzy straszą (pogłosek o rakotwórczym działaniu nie udowodniono, więc dopuszcza się je w małych stężeniach nawet w preparatach na skórę). Fosforany natomiast, jak i inne związki fosforu, ograniczono w 2013 r. do minimalnych wartości, więc i tak dodawać ich się nie powinno.

Krecia robota

Oczywiście związki chemiczne bywają szkodliwe dla środowiska i – jeśli użytkownik zignoruje umieszczone na opakowaniach ostrzeżenia – mogą wywoływać uczulenia. Ale dla osób podatnych na alergię równie niebezpieczne są pomidory lub truskawki. Nie można się zatem obrażać na branżę detergentową, że po zmywaniu gołymi rękami pojawia się na nich zaczerwienienie – środki do usuwania tłuszczu użyte bez rękawiczek niszczą przy okazji warstwę lipidową skóry. Podchloryn sodu w preparatach do czyszczenia toalet jest drażniący, więc polewanie nim dłoni może się wiązać z poważniejszymi problemami.

– Kłopot w tym, że Polacy nie czytają etykiet – mówi Anna Oborska. Jest i tak lepiej niż kiedyś, choć trzeba przyznać, że wytwórcy środków czystości – inaczej niż leków czy kosmetyków – informacje na opakowaniach umieszczają tak małym drukiem, że nie wystarczy sokoli wzrok, by móc je odszyfrować bez lupy. Chwała tym, którzy decydują się na piktogramy (symbole i rysunki), choć dla mniej wtajemniczonych przydałaby się akcja edukacyjna, co one oznaczają.

Tymczasem to, co potrafią wymyślić użytkownicy chemii gospodarczej, przekracza granice wyobraźni – wypróbował ją w najdziwniejszy sposób. Przed 10 laty w jednym z sondaży aż 3 proc. konsumentów przyznało, że głowę myje ludwikiem.

Nie trzeba jednak być aż tak pomysłowym, by popełnić błąd. Najczęstszym jest niewłaściwe dozowanie detergentów – na oko, najczęściej w nadmiarze. – *To zupełnie niepotrzebne* – podkreśla ekspertka, tłumacząc, że jedną z najważniejszych zmian, jakie w ostatnich 20 latach nastąpiły w tej branży, było doprowadzenie do większego skoncentrowania składników. – *Mniej znaczy więcej, a ludziom się wydaje, że jak wleją do wody jedną trzecią opakowania zamiast pół nakrętki, jak zalecił producent, to będzie czyszczyć.*

W polskich domach jest też zwyczaj umieszczania środków czystości w najniższych szafkach, zwykle pod zlewem zmywakiem. A coraz popularniejsze kolorowe tabletki i kapsułki przyciągają dzieci i niejedną już małą wyładował na ostrym dyżurze po połknięciu takiej ni to zabawki, ni przysmaku. Najniebezpieczniejszy jednak jest popularny kret, czyli środek do udrażniania rur. Wystarczy jedna atrakcyjna wizualnie granulka, by przepalić dziecku przełyk. – *Niektórzy sądzą, że skoro taki preparat stoi w sklepie na półce, to musi być nieszkodliwy, więc w domu, bez czytania etykiety, kładą go byle gdzie* – mówi Anna Oborska.

Wszystko to nie oznacza jednak, że przystępując do porządków, człowiek naraża się na ekstremalne ryzyko. Dzięki detergentom utrzymanie czystości przestało być katogą, na którą trzeba poświęcać wiele godzin. Jedne poświęcenie, na jakie trzeba się zdobyć, to odrobina zdrowego rozsądku. ■

